

Umarli jak żywi, czyli historycy w teatrze

Żywi i umarli, czyli bandyci w piekle, reż. Joanna Lewicka, Fundacja Teatrkon i Teatr Stary w Lublinie



DOMINIK GAC

AA A



Teatr Stary w Lublinie jest naprawdę stary. W całej Polsce starszy jest jedynie Narodowy Stary Teatr w Krakowie. Odrestaurowany przed kilku laty budynek przy ulicy Jezuickiej to dziś bombonierka lubelskiej starówki. Widz, zajmując miejsce na niewielkiej, acz urokliwej widowni, która zachowała swój XIX-wieczny charakter, wykonuje gest powtarzany w tym miejscu od 1822 roku.

164 lata temu był to jeszcze Teatr Rodakiewicza, nazwany tak na cześć fundatora. Jedną z wystawionych naówczas premier była sztuka Stanisława Krzesińskiego

Żywi i umarli, czyli bandyci w piekle. Ten „melodramat fantastyczny” właśnie wrócił na afisz. Sytuacja niemal jak ze snu historyka teatru. Tak zwanemu zwyklemu widzowi może jednak nie wystarczyć świadomość obcowania z teatrologicznym eksperymentem. Co zrobić, aby współczesny odbiorca przyswoił tę niespełna dwustuletnią ramotę, której wartości sam autor upatrywał najprawdopodobniej w scenografii piekielnych czeluści i niebiańskich bram oraz widowiskowej scenie bitwy i wybuchającym w akcie II Wezuwiuszu? Reżyserka Joanna Lewicka oraz odpowiadający za dramaturgię Jarosław Cymerman i Grzegorz Kondrasiuk zdecydowali się na połączenie dwóch strategii. Pastisz miesza się tu z seansem spirytystycznym.

Na scenie obserwujemy losy dwojga kochanków: nadobnej Anieli (Angelika Kujawiak) i dzielnego Alfonsa di Lalugio (Dariusz Jeż), którzy zmierzyć się muszą ze zbrojecką bandą dowodzoną przez okrutnego Frascitana (również Dariusz Jeż). Sekunduje mu przebiegły Ulryko (Mateusz Nowak), a przeszkadza zazdrosna o herszta Fiametta (także Angelika Kujawiak). Autor sztuki postawił na intrygę, stąd liczne zwroty akcji. Alfons jako niedoszła ofiara Frascitana podstępem przejmując dowodzenie nad rozbójnikami, zabija herszta i zdobywa narzeczoną, którą bandyci zdolali wcześniej uprowadzić. Następnie wszyscy razem (*via Wezuwiusz*) trafiają do piekła, skąd nadobni kochankowie zostają wzięci do nieba. Ich zdjecie przytwierdzone do tekturowej chmury unosi się w glorii i kiczu aż pod sufit. Wzniosłość sublimuje w komizm. Napuszone dialogi i patetyczne sceny pojedynków odegrano na tyle parodystycznie, że można odnieść wrażenie, iż oglądamy najlepszy z najgorszych spektakli świata. Z jednej strony wszystko jest tu przesadzone i przerysowane. Diabeł (Asmodeusz grany przez Mateusza Nowaka) z lubością nadziewa na widły lalki-dzieci, Frascitano w zwolnionym tempie wrzuca pokonanego przez siebie Alfonsa, tym razem granego przez manekina, do odsłoniętej na scenie dymiącej szczeliny. Z drugiej zaś, całość jest oszczędna i powściągliwa. Orkiestrę zastępuje samplujący swoje wokalizy Łukasz Jemiola. Zamek Urbino to rzucony na płótno cień lubelskiej warowni, piekło zaś wyobraża lalkowy teatrzyk.

Tego byłoby jednak za mało. Pomysł, choć dobry, wystarczyłby ledwie na zabawę. Aktorzy nie grają postaci z tekstu Krzesińskiego bezpośrednio. Wnikając w rolę, korzystają z wcieleń pośrednich: Feliksa hrabiego Dunina-Wąsowicza (Dariusz Jeż), Kajetana Nowińskiego (Mateusz Nowak) i Domiceli tego samego nazwiska (Angelika Kujawiak), czyli swoich historycznych poprzedników. W scenariuszu wykorzystano teksty, które przywołują zakulisowe realia XIX-wiecznego teatru. Sięgnięto do ówczesnej prasy, ale i *Komediantki* Władysława Stanisława Reymonta oraz pamiętników samego Krzesińskiego. Ten ostatni także pojawia się na scenie. Grany przez Grzegorza Kondrasiuka czyta fragmenty didaskaliów, wyjawia sekrety warsztatu, obnaża przyziemne motywacje artystów. Przekomarzania i docinki, którymi przerzucają się odwrócenie plecami do widowni aktorzy, spływają po nich razem z makijażem. W walce o sławę i splendor nie ma miejsca na sentymenty i artystowskie akty całkowite. Pozwalają sobie nawet na powtarzanie scen, jeśli nie wyszły odpowiednio. Gdyby byli konsekwentni, mogliby zamienić przedstawienie w koncert Mateusza Nowaka. Śpiewane przez niego songi Krzesińskiego bez wątpienia zasługują na miano zbrojeckich, a może nawet piekielnych. Mechanizm powtórzenia najbardziej widoczny jest w powracającym kilkakrotnie finale sztuki. Po raz pierwszy słyszymy go zaraz po zajęciu foteli – aktorzy grają, nie przejmując się wchodzącą publicznością. Początkowo niepewnie, jakby się rozgrzewali, nabierali śmiałości. Z czasem energia wzrasta. Może to mieć związek z zaludniającą się stopniowo widownią, ale nie musi. Ta repetycyjność przenosi humor na inny poziom.

Kim są tak naprawdę występujący przed nami artyści? Dlaczego sceniczny fajerwerk, wspomnienie dawnego przepychu i przykład historycznej popkultury ograniczyli do ubogiej formy objazdowego teatrzyku na trzech aktorów i kilka efektów? Przecież nie z powodu wątpliwej jakości tekstu – ta zapewne nic ich nie obchodzi, liczy się aplauz i dochód z biletów. A co, jeśli inaczej nie mogą? Być może nie zostało im nic poza nocnymi próbami/przedstawieniami granymi samym sobie w opuszczonym teatrze, gdzie od jakiegoś czasu szumi ta dziwna elektryczność. Cóż innego mogą tu robić? Spacerować po łóżach i galeriach, wspominając dawnych gości? Za drzwiami jest inny, wrogi świat. Tam huczy, warczy, szumi, krzyczy. Strach wyjść. Kto powiedział, że duchy muszą być odważne? Duchy boją się żywych bardziej niż żywi duchów, dlatego tak rzadko można je zobaczyć. Teatr jest jednym z niewielu miejsc, w których czują się bezpiecznie. To dom fantazji i niepewności. Nie wiemy do końca, *who is who*. Nawet jeśli doskonale znamy występujących na scenie aktorów i z zadowoleniem przyglądamy się znakomitej grze Dariusza Jeża i Mateusza Nowaka, to przecież nikt nie da nam gwarancji, że tekstu nie suflują im ich poprzednicy: Dunin-Wąsowicz i Nowiński. Dlaczego mieliby tego nie robić? Nie dość, że też grywali na tej scenie, to przedstawienie dotyczy ich samych. Nie mogą sobie pozwolić na obojętność. Jeśli będą bezczynni i zostawią sprawy samym sobie, istnieje ryzyko, że skończą jak Frascitano, którego wypłowił imię zamiast elektryzować, „dzisiaj już tylko w bajkę zaczyna się zamieniać”.

Niewykluczone, że za dobrze ich oceniam. Nie wiadomo, jakie mieli intencje. Być może to oni podpowiedzieli artystom ostatni, przydługi i z Calderona wzięty monolog Nowińskiego. I choć prawdą jest, że „wystarczy / najlżejszy podmuch wiatru, / by się rozwiało, zgasło”, to dostatecznie wymowną pointą przedstawienia były sylwetki aktorów na tle wyświetlonego obrazu Feliksa Pęczarskiego *Efekt melodramy*, przedstawiającego groteskowo wykrzywione twarze lubelskiej widowni z XIX wieku. Cienie i cisza. Czy trzeba czegoś więcej? Każdy dodatkowy głos utrudnia sprawdzenie, czy na widowni jakiś „szmerek był”. Niech zostanie odnotowane w annałach, że był, choć – niech i to potomni znają – prasa nie płakała.

13-11-2017

Fundacja Teatrkon, Teatr Stary w Lublinie
Stanisław Krzesiński
Żywi i umarli, czyli bandyci w piekle
reżyseria: Joanna Lewicka
dramaturgia: Jarosław Cymerman, Grzegorz Kondrasiuk
scenografia i kostiumy: Elbruzda
opracowanie muzyczne: Łukasz Jemiola
reżyseria światła: Grzegorz Polak
obsada: Angelika Kujawiak, Dariusz Jeż, Mateusz Nowak, Grzegorz Kondrasiuk
premiera: 20.10.2017

TAGI: Stanisław Krzesiński, Joanna Lewicka, Lublin, Teatr Stary,

UdostępniJ

SKOMENTUJ

Autor

lub zaloguj się

Treść komentarza

Aby potwierdzić, że nie jesteś robotem, wpisz wynik działania:

siedem minus cztery jako liczbę:



KOMENTARZE (0)